



MALY ŚWIATEK

CZASOPISMO
ILLUSTROWANE DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

wychodzi 1., 10. i 20. w miesiącu.

Przedpłata wynosi: w kraju rocznie 4 zlr., półrocznie 2 zlr., kwartalnie 1 zlr. Z przesyłką kwartalnie o 15 et. drożej. W Ks. Poznańskim 8 mr., kwartalnie 2 mr. **Skład główny** w księgarni J. Leitgebra i Sp. w Poznaniu, ul. Wilhelmska. **Adres Redakcyi:** Lwów, pl. Maryacki l. 10. **Adres Administracyi:** Lwów, Rynek l. 39. sklep p. Heleny Jaworskiej.

SERCE KOŚCIUSZKI.



W Szwajcaryi, w kraju odległym od nas o jakie półtora tysiąca kilometrów, leży nad wielkiem a pięknem jeziorem Zurychskim, miasteczko Rapperswyl.

Miasteczko to posiada dla nas, Polaków, urok niezwykły: znajduje się w niem starożytny, z kamieni zbudowany zamek, a w zamku tym pełno jest pamiątek polskich, bogate tworzących muzeum.

Za dawnych, bardzo dawnych czasów, zamek rapperswylski należał do rodziny hrabiów habsburskich, którzy później zasiedli na tronie austriackim. Gdy jednak Szwajcaryja oswobodziła się z pod ich panowania, zamek przeszedł na własność gminy, a ta wydzierżawiła go przed ćwierć wiekiem naszemu ziomkowi, hr. Platerowi. Hr. Plater, gorąco miłujący ojczyznę swoją, zapragnął z zamku tego stworzyć niejako świątynię narodową i złożyć w niej wszystko to, coby przypominało cudzoziemcom, że na dalekiej północy jest kraj uciemniony, ale sławną mający przeszłość i na lepszą zasługujący dolę. A trzeba wam wiedzieć, że do Szwajcaryi rok rocznie przyjeżdża olbrzymia ilość Anglików, Francuzów, Niemców, Włochów i innych; ciągną ich do siebie potężne, w Europie najwyższe, śniegiem i lodami pokryte góry, prześliczne, tęczowymi kolorami mieniące się jeziora, szumne wodospady, zielone, świerkowymi i modrzewiowymi lasami zarosłe doliny. Przytem Szwajcaryja słynie jako kraj, który nad wszystko ukochał swobodę i niejednokrotnie udo-

wodnił, że dla obrony swobody tej może poświęcić życie swych najdzielniejszych dzieci. Znacie opowieść o Wilhelmie Tellu, co chcąc ziemię swoją wybawić od srogiego namiestnika Gesslera, nie wahał się strzelić do jabłka, które tenże namiestnik położył na głowie jego ukochanego synka. Słyszeliście też zapewne o innym, dzielnym wojowniku szwajcarskim, Arnoldzie Winkelrydzie, który dla ojczyzny swojej stał się tem, czem dla nas jest Tadeusz Kościuszko.

Hr. Plater nie mógł więc lepszego wybrać kraju, ażeby w nim złożyć pamiątki polskie; wiedział, że pod opieką ludu szwajcarskiego bezpieczne mają schowanie, że ręka żadnego wroga na nie targnąć się nie może.

Poza biblioteką, poza zbiorem obrazów, starożytnych stroi i innych zabytków historii naszej, a zwłaszcza dziejów po rozbiórce naszej Ojczyzny, w dziedzińcu zamkowym, który się cały zieleni od bluszczów i dzikiego wina wznosi się kolumna z orłem polskim na szczycie i z napisem na podstawie, głoszącym w kilku językach krzywdy, wyrządzone Polsce i wzywającym narody do wymierzenia jej sprawiedliwości.

W tym samym dziedzińcu, naprzeciw głównej, w pobliżu wieży czworobocznej, znajduje się, przylegająca do muru zamkowego, okrągła wieżyczka czyli baszta, która od kilku tygodni szczególnie stała się drogą sercu każdego Polaka. Staraniem zarządu muzeum rapperswylskiego baszta ta zamienioną zo-

stała w mauzoleum czyli grobowiec, a w nim spoczęło serce jednego z największych bohaterów naszych, Tadeusza Kościuszki. Kto był Tadeusz Kościuszko, o tem wiecie; słyszeliście już nieraz, jakie położył zasługi, czem się wstawił, czem zasłużył sobie na bezgraniczną miłość i cześć, jaką pamięć jego wszyscy otaczamy. Przypominacie sobie, że kiedy na Ojczyznę naszą straszne zwały się nieszczęścia, kiedy kraj nasz przechodził rozszarpany w ręce nieprzyjacielskie, Tadeusz Kościuszko, syn niezamożnego szlachcica, wezwał naród do boju. Aby się nie dał, aby krwią zmył hańbę, którą na Polskę starali się zwalić jej odwieczni wrogowie. Ale największą zasługą tego mężnego wojownika było to, że powołał pod broń siermiężny lud polski, który dotychczas nie znał, co to Ojczyzna i co znaczy krew za nią przelewać. Z ludem polskim, uzbrojonym w kosy, szedł Kościuszko na Moskali, a z bitew stoczonych z nimi, najslawniejszą jest bitwa pod wsią Raclawicami. Starsi z was pamiętają dobrze wielką panoramę na placu wystawy lwowskiej, przedstawiającą, jak „pan naczelnik“, t. j. Kościuszko, biegł z krakowskimi chłopami w białych sukmanach i czerwonych rogatywkach zdobywać moskiewskie armaty. Wiecie, że wojna Kościuszkowska skończyła się nieszczęśliwie, powstańcy zostali zwyciężeni w bitwie pod Maciejowicami, a Kościuszko ranny dostał się do niewoli. Wypuszczony z więzienia petersburskiego przez cara rosyjskiego, Pawła, szlachetny wódz wyjechał za granicę, do Anglii, gdzie go z ogromnym przyjmowano zapalem, a następnie do drugiej swej ojczyzny, Ameryki. — Po raz wtóry zawitał on do tych krajów zamorskich, o których wolność i niepodległość bojował przed laty z słynnym generałem Waszyngtonem; imię Tadeusza Kościuszki otoczone było tutaj szacunkiem, jakiego rzadko który dostępuje człowiek. Najznakomitsi mężowie amerykańscy ubiegali się o jego przyjaźń, a rząd republikański, tj. taki, gdzie nie panuje król, lecz sprawami państwa kierują obywatele, wybrani przez naród, w ważnych sprawach zasięgał rady naszego ziomka. Z tej też przyczyny niedługo zabawił Kościuszko w Ameryce; rząd wysłał go do Francji, aby załagodził spór, wynikły pomiędzy tym krajem a Ameryką.

Bliżej własnej będąc Ojczyzny, miał Kościuszko więcej sposobności spotykać się ze swymi ziomkami. Obracał się pomiędzy nimi, pracował z nimi razem nad wygotowaniem planów, któreby Polsce wróciły wolność i niepodległość. Niestety nie doczekał się tej upragnionej przez siebie chwili; nie wierząc Napoleonowi I., który łudził Polaków, że im odbuduje Ojczyznę, jeżeli za niego krew przelewać będą, nie chcąc też od niego żadnych przyjmować godności, opuścił Kościuszko stolicę Francji i zamieszkał w Szwajcaryi, w mieście Solurze, w domu serdecznego przyjaciela swego Zeltnera. O wielkiej dobroci, o litości dla ubogich okazywanej przez Kościuszkę, pełno zachowało się opowieści; sam odmawiał sobie najprostszyc potrzeb, ażeby tylko mózdz dopomagać innym; codziennie wyjeżdżał konno w okolice Solury i wyszukiwał najbiedniejszych, aby się z nimi podzielić swym groszem.

Kościuszko był miłośnikiem dzieci, a do jego ulubienic należała młodzianka córka Zeltnera, Emilia, którą uczył historii powszechnej i geografii; u potomków tej Emilii, jak to zobaczycie poniżej,

przechowało się też serce naszego chłopskiego naczelnika.

Dnia 15. października 1817 r. miasto Solura powszechną okryło się żałobą; w domu przyjaciela swego umarł Tadeusz Kościuszko, przebywszy febrę nerwową, której nie mogło przetrzymać ciało wyniszczone ranami i nieustającą troską o ukochaną Ojczyznę. Zwłoki zabalsamowano i złożono uroczystie w podziemiach katedry solurskiej, obok trumien biskupów i najzasłużeńszych mężów szwajcarskich. Wyjęto atoli serce i wnętrzności; serce pozostało w rodzinie Zeltnerów, a wnętrzności pochowano na cmentarzu wioski szwajcarskiej nazwiskiem Zuchwynt, oddalonej o pół mili od Solury. Po dziś dzień na cmentarzu tym zachował się skromny pomnik marmurowy, postawiony przez Zeltnera, a noszący napis łaciński: „Visiera Thaddaei Kościuszko“, to znaczy: „Wnętrzności Tadeusza Kościuszki“. Niedługo jednak spoczywały zwłoki naszego bohatera w kościele solurskim; wdzięczny naród polski sprowadził je w rok później do Krakowa i złożył na Wawelu obok grobowców dawnych królów naszych, a pod Krakowem usypał na cześć jego wysoką mogiłę, w której wnętrzu mieści się ziemia, przywieziona z pobojuwiska raclawickiego.

Serce Kościuszki, zamknięte w urnie, znajdowało się długie lata w rodzinie hr. Morosinich, spokrewnionych z Zeltnerami. — Emilia Zeltnerówna, uczenica Kościuszki, wyszła bowiem za hr. Morosiniego, a do wiana, które mu wniosła, należał i skarb nad skarbami, serce naczelnika. Dopiero przed rokiem udało się zabiegom kilku naszych ziomków skłonić wnuków Emilii, aby skarb ten powierzyli narodowi polskiemu. Z willi Vezzia nad cudnym jeziorem lugańskim, w Szwajcaryi wschodniej, przewieziono je do Rapperswylu i dnia 11. sierpnia 1897 r. złożono uroczystie w mauzoleum, o którym wspomnieliśmy powyżej.

Na ten ponowny pogrzeb zjechało się dużo uczestników ze wszystkich stron Polski; Warszawa przysłała wawrzynowy wieniec, a z Galicyi zjawily się deputacje różnych towarzystw. Nie brakło pomiędzy nimi i przedstawicieli ludu polskiego, który ze wszystkich najwięcej ma powodu do kochania i czczenia pamięci swojego wodza. Obchód rozpoczął się w kościele zamkowym. Przed wielkim ołtarzem zrobiono mały katafalk, przystrojony w kwiaty, kosy raclawickie, wizerunek Kościuszki i w sztandar będący żywą podobizną chorągwi, pod którą chłopci krakowscy walczyli pod Raclawicami. Na katafalku tym spoczęła żelazna skrzyneczka, chowająca w swem wnętrzu serce Kościuszki. Nabożeństwo żałobne przy głównym ołtarzu odprawił ksiądz Heyducki, Polak, przebywający w szwajcarskiej miejscowości St. Gallen; przy ołtarzach bocznych czytali równocześnie ciche msze św. dwaj księża rapperswylscy. Po skończonych egzekwiach ustawili się uczestnicy, których było około czterystu, delegaci towarzystw nieśli urnę w otoczeniu wiesniaków z sztandarem Kościuszkowskim i kosami raclawickimi w ręku; za nimi wszyscy inni uczestnicy tej uroczystości.

Na dziedzińcu zamkowym, wobec ogromnej ilości ludzi, pomiędzy którymi byli nietylko nasi ziomkowie, ale i Anglicy, Szwajcarzy, Francuzi itp., wygłoszono mowy, sławiące wielkie imię Kościuszki i przyrzekające w imieniu Polaków, że wszyscy kochać będziemy Ojczyznę, jak ją kochał wódz racla-

wicki, że będziemy bronić naszych praw i będziemy oświecali naszych braci chłopskich, że nie będziemy czynić różnicy pomiędzy bogatym a biednym, pomiędzy panem a wiesniakiem, gdyż wszyscy jesteśmy braćmi rodzonymi, wszyscy dziećmi jednej Matki-Polski.

Po tych przemówieniach, zamurowano skrzynkę ze sercem w murze mauzoleum, którego ściany zdobi obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, jako Królowej korony Polskiej, oraz inne malowidła.

Światło dostaje się do grobowca przez piękne okno kolorowe, umieszczone w kopule baszty; świa-

tło to pada na wspaniałą urnę, stojącą w środku mauzoleum, z łacińskim napisem: „Resurgat Polonia!“ to znaczy: „Niech Polska zmartwych powstanie!“

Gdy za drogocennym skarbem zawarły się wrota grobowca, uczestnicy uroczystości rozeszli się, błogosławiąc imię naczelnika, który był nietylko mężem wielkich cnót, niezłomnego hartu duszy, ale zarazem człowiekiem, który narodowi polskiemu pokazał drogę, jaką powinien kroczyć do wybawienia Ojczyzny.

Jan Kasprowicz.

WIECZÓR LETNI NA WSI.

Jeszcze raz wietrzyk pociągnął jarem,
Słońce hen w zboża się nurza;
Obłoczek kraśnym zapłonął żarem,
Cień skrywa doliny, wzgórze.

Koniki szparko wóz ciągną z pola,
Na snopach parobczak żwawy.
Roi się cicha tródkami rola
I gąski wracają z trawy.

Wszystko ku jednej drożynie splywa;
Pastuszki, owieczki, krowy,
Tuman się w wiejskiej uliczce skrywa
I cichną pola i rowy.

Przeróżne głosy wydzwania wioska,
Przy wrotach gromadki stają;
Pastuszków dzienna skończona troska,
Na dudkach wierzbowych grają:

Graj, dudko graj,
Głos wdzięczny daj,
Choć z wierzbyś ty,
Twej lubej gry
Słucham z rozkoszą,
Bo mnie unoszą
Twe tony w raj,
W mój wolny kraj...
O — dudko — graj...

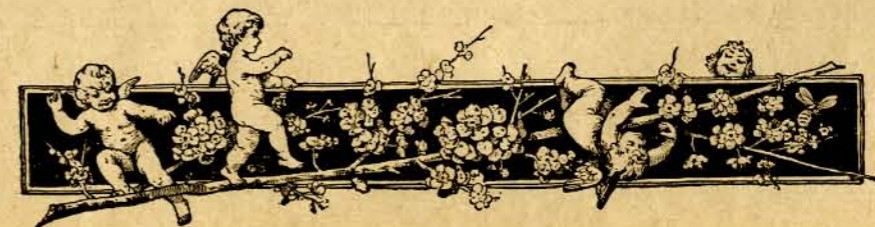
Ucichła dudka. Już nikt nie gwarzy,
Gospodarz jeszcze przy stogu.
Wesoły ogień z pieca się żarzy
Wieczerzać siędą na progu.

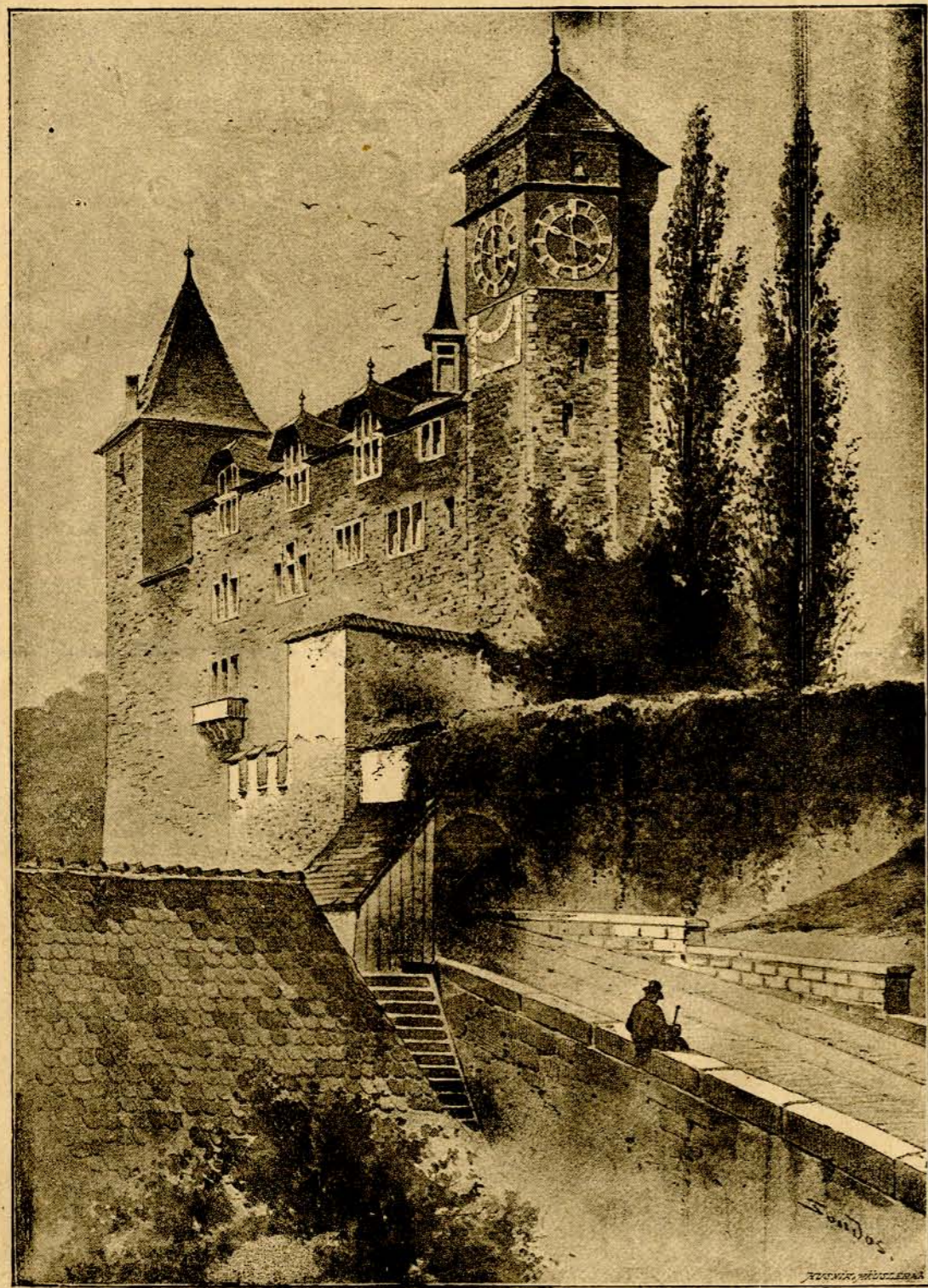
Wtem, jak stróż-aniół, opiekun wioski
Ozwał się dzwonek od wieży;
Dźwięk jego tęskny, a rzewny, boski,
Moc wielką nad wioską dzierży.

Pokornie chłopiek uchylił czoła;
Na Anioł-Pański to dzwonią.
Do siebie matka dziecinę woła
Na pacierz — i łezki ronią:

Dzwon, dzwonku, dzwon
I wioski chroń
Od nieżyczliwej mocy.
Paciorek weź,
Do Boga nieś:
Chroń nas i w dzień i w nocy
I łaskę daj
Na piękny kraj,
Co cierpi w obcej mocy...
Modlitwę dzwoń,
W gwiazdzistą toń,
Nim powiem ci: dobrej nocy,
O, dzwonku — dzwoń!

Jan Golebiowski.





Zamek w Rapperswylu, w którym złożono serce Kościuszki
dnia 11. sierpnia 1897 r.

JAŚ i KASIA

POWIEŚĆ OSNUTA NA TLE HISTORYCZNEM

PRZEZ

SZCZĘŚNEGO ROGAŁĘ,

—

(Ciąg dalszy).



W alka to była krótka, a zawzięta, bo z jednej strony uderzyły całe setki ordyńców, a z drugiej stawiała opór mała garstka ludzi, którzy wiedząc dobrze, że

muszą uleść przemożnej sile, nie dbali o życie i rzucali się w bój z odwagą, jaką tylko rozpacz natechnąć może.

Nietylko nieochraniali oni życia, ale przeciwnie, starali się zginąć, bo śmierć była dla nich oswobodzeniem od niewoli, która czekała niechybnie zwyciężonych. W zacieklej tej walce tylko dwoje istot nie brało udziału: Jaś i Kasia. Siedzieli oni w środku taboru, na jednym z wozów, przytuleni do siebie i drżący z trwogi, nie śmiejąc się poruszyć nawet. Patrząc na straszne sceny bitwy wylęknionymi oczętami, widzieli, jak padali ich obrońcy jeden po drugim, widzieli, jak jakiś straszny Tatar zarzucił arkan na szyję pana podstolego, ale że równocześnie drugi ciął nożem, więc wyciągnęli go nieżywego. Tuż przy dzieciach, osłaniając ich sobą, walczył pan Grzegorz, ale i ten wkrótce padł nieżywy koło wnuków swego pana, a one krzyknęły przeraźliwie, bo zrozumiały, że już nie ma ich komu bronić. Krew, spływająca z ran starego Szczerby, zbroczyła sukienki dzieci. Szczerba poległ jeden z ostatnich.

Skończyła się walka, gdyż nie stało walczących, wtedy Tatarzy pozrzucali poległych

i ciężko rannych z wozów, a klnąc i złorzeczając, że nie ma jassyru, zaczęli plądrować wozy i szukać zdobyczy. Przetraszając wozy, natrafili na dzieci.

— Wyjdźcie! — krzyknął jeden.

Ale dzieci, nie rozumiawszy jego mowy, patrzyły wielkimi oczyma, lecz rozkazu nie spełniły. Wywleczono je więc na drogę i szydzić z nich zaczęto.

— Toż to dopiero jassyru, wstyd z tem wracać — rzekł dowódca czambułu i trącił dzieci nogą.

Jaś potoczył się po ziemi, a Kasia zapłakała głośno.

— Zamordować ich, niech nie zawadzają — zasyczał inny.

— Związać i rzucić na konie — dokończył wódz.

W okamgnieniu skrępowano dzieci, rzucono każde na innego konia i przywiązano do niego sznurem. W kwadrans potem Tatarzy popędzili w las wraz z Jasiem i Kasią; konie, do których przywiązane były wnuki pana starosty, leciały szybko, jak wichry, a za każdym ruchem zwierząt, sznury wiskały się w ciało dzieci, ocierały im skórę i wygryzały rany.

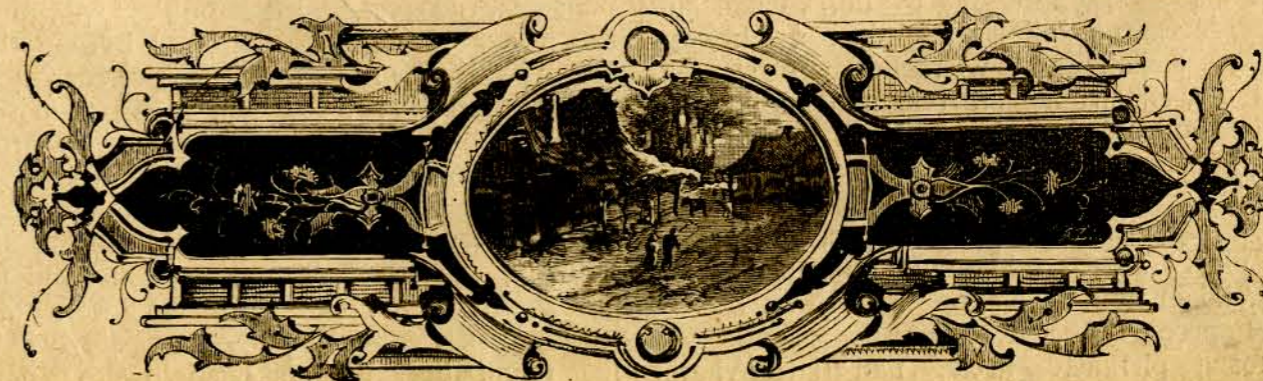
A na drodze było cicho, podruzgotane wozy, zabici ludzie i porzucone mniej kosztowne rzeczy, świadczyły tylko, że w tem miejscu wrzał niedawno krwawy bój. Po jakimś czasie jeden z rannych, który omdlał z silnego uderzenia, otworzył oczy, usiadł na pobojowisku, a popatrzawszy w około, zrozumiał, co się stało. Był to woźnica, który wioził Jasia i Kasię. Odzyskawszy siły, wstał, przyglądał się trupom i mówił:

— Oj, wszyscy chyba zginęli. O, pan podstoli... i pani... i nasz pan Grzegorz... a gdzież dzieci?

Ale daremnie szukał, nie znalazł ich nigdzie.

— Ha, musieli ich pochwytać żywcem... biedne niebożątka — szepnęła cicho — ciężka to tam będzie ich dola.

[Ciąg dalszy nastąpi].



Listy z pod Babiej góry

Mani do Zosi.

LIST VI.

Zawoja, 28. sierpnia 1897.

Droga Zosiu!

Dzień przedwczorajszy mogę nazwać koroną pobytu w Zawoi, byliśmy na Babiej górze. Już prawie nie miałam nadziei na tę wycieczkę, patrząc codziennie z utęsknieniem na szczyt Baby, uparcie od dwóch tygodni zakrytej chmurami. Ach, te chmury szkaradne, siadają sobie bez ceremonii na górach i widok tak zasłaniają, że nieraz zdaje się, jakbyśmy także w chmurze mieszkali. Szczęściem wiatr się zmienił. Baba wyrzesała uśmiechnięta, różowa; nie zwlekając, całe tutejsze towarzystwo wybrało się na wycieczkę.

Wyjechaliśmy przed wschodem słońca, zmrok był jeszcze, cisza zupełna, zimna rosa perliła się na trawach, Baba i jej towarzyszki tonęły w błękitnawej mgłę. Nagle z za różowego obłoczka strzelił złocisty promień słońca, jeden, drugi, zapłonęły szczyty, ptaszęta poczęły odzywać się, otrzepując resztki snu i rosy ze skrzydełek, z otwartych chat wybiegały gospodynie z konewkami po wodę, gospodarze otwierali stajnie, światło służywało w dolinę, odezwały się fujarki pasterzy, ryk bydła i zgrzytanie pił w traczach. Pierwszy raz widziałam wschód słońca i budzące się życie do dziennej pracy. Droga była coraz piękniejsza, jechaliśmy w stronę Orawy, bo stąd przystęp na Babę ma być łatwiejszy, nad brzegiem strumienia, wśród łąk i pól, później gęstym, starym lasem bukowym, a wyżej borem jodeł i smerek. Droga wije się wężykiem coraz wyżej, doskonale ubita, równa, ale tak wązka, że wóz ledwo się może przesunąć; spojrzawszy w dół, widziałam przepaść czarną, miejscami zda się, jak gdybyśmy jechali po wierzchołkach smerek, a po drugiej stronie smereki nad nami, promienie słońca ledwo się przedrzeć mogą przez dach iglastych gałęzi. Gdziegdzie leżą stare, powalone, ogromne pnie „mchami brodate“, inne stoją odarte z kory, bielejąc, jak szkielety olbrzymów. A krzewy, ta „działwa leśna“, jakże bujne i piękne, a co traw i ziół!

Paprocie tak wysokie, że ponad wóz wynoszą pierzaste liście, nad strumykami

prześliczne różowe, białe i niebieskie niezapominajki, storczyki białe i liliowe, gladyole mocno różowe, żółta arnika, ciemno-fioletowy tojad, z pośród kamieni wyrastają rozliczne gatunki rozchodnika, tłustosz o mięsistych liściach i amarantowym kwiecie, mówi o nim przewodnik, że w wigilię św. Jana wyrwa się go z ziemi i wsadza w szparę podłogi w chacie — kto ma żyć długo, temu tłustosz, zwany tutaj „wroniem sadłem“ zakwitnie, a komu uschnie, tego śmierć w tym roku nie minie. — Trzebaby z rok czasu, aby poznać i opisać to mnóstwo roślin, pokrywających stok Babiej góry. A jak prześlicznie wśród tego barwnego kobierca; wśród prawdziwych bukietów traw i ziół wyglądają spadające z góry, srebrną pianą szumiące strumyki i potoki! Mnie w myśli snuły się słowa Mickiewicza: „Wóz nurza się w zieloności i jak łódka brodzi“; z jakąż prawdą zastosować je tu mogłam? — Koła wozu sunęły cicho po miękkiej drodze, a paprocie i trawy muskały nas po twarzach, otrząsając krople rosy — płynęliśmy w zieleni, przetykanej kwieciem. W jednym miejscu las rozstępuje się i w zagłębieniu widać niewielki staw, górale zwać go »Mokrym«, w czarnej szybie wody kąpią się nadbrzeżne jodły »odwrócone głowy«, a a skaliste ściany odbijają dwukrotnym echem każdy głos, huk, śpiew czy wykrzyk. Już było blisko południe, kiedy wjechaliśmy znowu na niewielką łączkę wśród lasu, górale powiedzieli, że tutaj trzeba stanąć, a dalszą drogę odbyć pieszo. Rozbito obóz, pozapalano ogniska, górale »waryli herbę« czyli gotowali herbatę, wszyscy odpoczywali, pokrępiając się na drogę. Przewodnicy zabrali nasze płaszcze i serdaki, chociaż było gorąco, ale mówili, że na »werchu« przydadzą się, nie zapomnieli i o koszach z zapasami sera, kiełbasy, chleba i wina, poczem zawołali w drogę! Teraz już niewygodna droga, ale wązka, kamienista, »pyrc« czyli ścieżka wiodła w górę i w górę. Jest tu jedno miejsce, zwane »kominem«, gdzie prawie rękami i nogami drapać się trzeba prostopadle w górę, potem trochę lepiej, szczyty Baby zdają się tuż, tuż nad nami, jodły już znikły, jałowców nawet

nie ma tylko gąszcz borówek i ciemne, pełzające po ziemi gałęzie kosodrzewiny. Znowu polanka mała, przewodnik poprowadził nas przez nią i ujrzelśmy pod nogami wielkie, koliste zagłębienie o skalistych ścianach, a na dnie płat śniegu. — To »kościelniki« — powiedział gazda — dawno, dawno temu stał tu kościółek królowej Jadwigi, zapadł się w ziemię, a z nim wojsko wielkie, tylko krzyżyk kamienny wysterczał pomiędzy kosodrzewiną. Raz, było to w niedzielę podczas sumy, biegł tędy pasterz, potknął się, zaklął straszliwie, w tem zaszumiło, zadźwięczało, spojrz pastuch, a tu krzyżyk kamienny z pod nóg jego usuwa się w głąb ziemi, a w głębi słychać niby szcęk broni, niby dźwięk dzwonów. Słyszał te dzwony i brat mój raz tutaj — mówił z przejściem góral — słyszeć je może tylko sprawiedliwy, cnotliwy człowiek, tam, pod ziemią co święto odprawia się nabożeństwo, a potem wojsko zasypia i czeka aż będzie wielka wojna, co się zaczęło kiedyś za Wisłą, a pójdzie aż tutaj pod Babią górę. Wtedy wstanie wojsko królowej Jadwigi, rozbroi walczących, wojna się skończy, nastanie pokój i król polski znowu będzie. O, będzie, nieohybnie być musi król polski — wołał stary gazda, wyciągając rękę. Zawieszony prawie nad przepaścią, z podniesioną ręką, z rozwianym włosiem i ogniem w oku, zdał mi się natchnionym jakimś prorokiem. Cisza była, zdała tylko szumy jakieś, tajemnicze szepty borów niósł wiatr. Wszyscy milczeli wzruszeni słowami górala, co tak po prostu, a tak mocno i szczerze wierzył w obudzenie się, w wielką przyszłość naszej Ojczyzny. Łzy miałam w oczach, gdyby nie liczne towarzystwo, byłabym uściskała starego naszego gazdę, jakże go kocham odtąd!

Szliśmy dalej, już i kosodrzewina znikła, po nagiej skale trzeba się było drapać na najwyższy szczyt Baby. Panie już były bardzo zmęczone, a tu wysiłków niemałych trzeba, wreszcie jesteśmy na szczycie, na »dyablim zamku«. Jest to niby kopiec, ułożony z olbrzymich głazów, niby ruiny zamku, który według góralskich podań »dyabli fundowali«. Wśród skał widoczne są resztki kaplicy, przez wiatry halne zerwanej i wysoki, kamienny obelisk, stary słup graniczny między Galicyą a Węgrami, na nim napis węgierski, data r. 1806 i herb Węgier — po drugiej stronie rozbity herb, podobno dawny jeszcze polski. Poniżej na słupie wycięte nazwiska turystów odwiedzających Babę i myśmy swoje tam

wycięli. Widok ztąd prześliczny, podobny jak z Polic, ale jeszcze rozleglejszy.

Pomyśl Zosiu, stałam na wysokości 1758 metrów, jakże wielkie koło obejmowałam okiem? Ku południowi Babia góra łagodnym stokiem spada w Orawską dolinę, przeciętą wstęgą rzeki Drawy, usianą wioskami, miasteczkami; a zamkniętą szeregiem Tatr. Ci, z towarzystwa, co Tatry znali, wskazywali ich szczyty, a między nimi ostry, kończysty szczyt Łomnicy, siodłowaty Gewont, wszystkie były śniegiem pokryte. Ku północy stok Bęby stromy, przepaść pod nogami, tuż obok Police, a dalej równoległe pasma gór coraz niższych, między górami doliny. Skawa szumi, nad nią Zawoja, dalej Maków, Sucha, klasztor kalwaryjski, przez szkła widać nawet Bielany, a u kresu widnokregu, we mgle, każą przewodnicy widzieć wieże Krakowa.

Nie zdołam, droga Zosiu, opisać ci wrażenia, jakiego doznaję, będąc tak uniesioną, niejako zawieszoną między niebem, a ziemią, u stóp lasy, góry, wsie i miasta, nad głową błękit z ognistą kulą słońca, a człowiek niby punkcik maleńki w ogromnym przestworzu.

Towarzystwo nasze, nie po raz pierwszy będące w górach, zabrało się spokojnie do spożywania zapasów, ja jeść nie mogłam, patrzeć chciałam tylko. Na stoku, od strony orawskiej, pasły się stada siwych wołów, najstarszy ich pasterz, wolarz, przyszedł do nas porozmawiać trochę, bo ludzi dawno nie widział, podobnie, jak baca na hali, całe lato przepędza z wołami na górach, a gorzej mu jeszcze, bo nawet bacówki nie ma, śpi pod gołem niebem. Z podziwem patrzyliśmy na niego, żadne z nas nie miałyby ochoty zastąpić go tutaj, rozprawiać się z wilkami i niedźwiedziami, słuchać muzyki grzmotów i piorunów. Piękny to był człowiek, wysoki, silny, zwinny jak koza, twarz ogorzała, o pięknych rysach, oczy miał czarne jak węgiel, strój trochę odmienny od stroju naszych górali i mówił trochę odmiennym językiem, ale rozumielśmy się, bo to nasz pobratymiec, Słowak z Orawy. Komuś z towarzystwa pić się chciało, wolarz zbiegł szybko, jak sarna z góry i za chwilę przyniósł w »kłobuku«, tj. we własnym filcowym kapeluszu wody źródlanej, dziwne naczynie, prawda? ale wierz mi, że woda z niego była wyborna. Mówili górale, że z orawskiej strony jest źródło słone, zapewne są w Babiej górze pokłady soli i tak też mówią górale, twierdząc, że kiedy w Wieliczce soli braknie, stąd ją brać będą. Żal mi było bardzo żegnać Babę, ale słońce już

dawno zeszło z południa, w dolinach zaczęło ściemniać się, przewodnicy naglili do powrotu. I dobrze zrobili, bo co to za droga! Ach, Zosieńko, nieraz oczy mrużyć musiałam, w duchu mówiąc „Kto się w opiekę“, mama bladła, kilka pań mdlało prawie. Wóz toczył się tuż, tuż nad przepaściami, krętą ścieżką, woźnice prowadzili konie, które jak dzieci posłuszne szły krok za krokiem. Niechby najmniejsza przeszkoda, zając pierzchający z drogi, kamień lub pień przewrócony, a znaleźć się można na dnie przepaści, które mrok zalegał. Br! dotąd mi zimno, kiedy tę drogę wspomnę — jechaliśmy nie tą, co zrana, krótszą, ale też więcej stromą. Z radością ujrzelśmy wreszcie światło w oknach chatki i szeroką, wygodną drogą, wiodącą przez wieś. Księżyc wysunął się z za Babiej góry, oświecił »djabli zamek«, spoglądałyśmy na niego teraz, jak na dobrego znajomego. Już było zupełnie ciemno, kiedyśmy przed naszą chatą sta-

nęli. Noc zeszła prawie bezsennie, ciągle nam się zdawało, że jedziemy, to znowu, że wóz stać się w przepaść. Zygmunt i Wanda tylko chrapali w najlepsze. Szkoda, Zosieńko, że już koniec wakacji, trzeba wracać w duszne mury miasta, a tu tak słicznie, pogodnie, jasno, przestronno! Całą zimę wzdychać będziemy do gór, do hal, do ciemnych borów i srebrzystych wodospadów. Mateczka uradowana, że nam przyjemność sprawiła, obiecuje na przyszły rok wyjazd w inną stronę naszej pięknej Ojczyzny.

Teraz nie spodziewaj się prędko listu, za cztery dni wracamy do Krakowa, mam składać egzamin wstępny do seminaryum. na kurs II., przytem porządku w domu, początek znowu czasu pracy i nauki, o wolną chwilę trudno będzie, więc tem serdeczniej, że na dłużej, ściskam cię i całuję, twoja Marya.

Olga Splawińska.

KONIEC

ZAGADKI.

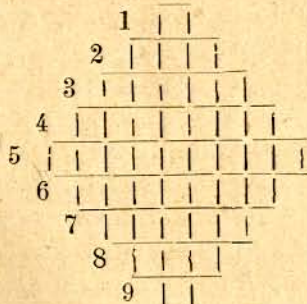
ZAGADKA

nadesłana przez Stasię M. z Zaleszczyk.

Drugie i pierwsze, to dobre danie,
Piją mniej więcej wszyscy na śniadanie,
Bez pierwszej litery weź wyraz cały,
To drzewo, co ma kwiat wonny i biały;
Razem, gdyś w szkole, choćby z daleka,
Przyjedziesz do domu „całe“ ciebie czeka,
Lecz gdy skończone, o Boże, Boże!
Zbieraj się i wracaj z kąś przybył nieboże.

ZAGADKA KRYSZTAŁOWA

nadesłana przez Zdzisia P.



1. Spółgłoska. 2. Zaimek. 3. Tytuł księcia litewskiego. 4. Pożywienie wieczorne. 5. Nazwa wsi w okolicy Krakowa. 6. ? 7. Przymiotnik. 8. Rzemieślnik. 9. Żywiol. 10. Pytanie. 11. Spółgłoska.

Rząd środkowy pionowy i poziomy da nazwę generała z czasów kościuszkowskich.

Rozwiązanie zagadek zawartych w nrze 26.:

Zagadka w gwiazdce: Ewa, elipsa, egzycyrka, edukacja, elekcyja, Europa, ewangielia, Elżbieta.


Zagadka: Lenartowicz.

Rozwiązanie zagadek zawartych w nrze 26. nadesłali:

Oleńka Morawska, M. i Z. Ajdukiewiczówny, Mania Stojakowska, Kazia Dellmannówna, Berta i Izio Kaufmanowie, Zosia Sądecka, Stasia Manowarda, Hala Harasowska, Julek Kleiner, Witołd Masiuk. Tadek Dobrowolski, Manusia Jaworska, Adaś Myczkowski, Kazia Kiełbińska, Stach Kropiwnicki, Janina Obrębowiczówna, Władzio Rutkowski, Paulinka Żukiewiczówna, Wacio i Wisia Mejbaumowie, Zdzis Zygułski, Zosia Koncewska.

Nagrodę za rozwiązanie zagadek otrzymali:

Kazia Kiełbińska, Olenka Morawska, Stach Kropiwnicki, Zosia Koncewska.

 Odpowiedzi na listy odkładamy z braku miejsca do następnego numeru.

TREŚĆ: Serec Kościuszki, napisał Jan Kasprowicz. — Wieczór letni na wsi, wiersz J. Gołębiewskiego. — Jaś i Kasia, powieść osnuta na tle historycznym przez Szczęsnego Rogalę. — Listy z pod Babiej góry Mani do Zosi, Olgi Splawińskiej. — Zagadki. — W dodatku: „Światko“ i „Dodatek powieściowy“.